

JULIAN SIEMIONOW

MDW

SIEDEMNAŚCIE MGNIEŃ WIOSNY

PEŁNA WERSJA / BEZ CENZURY



JULIAN SIEMIONOW

SIEDEMNAŚCIE MGNIEŃ WIOSNY

PEŁNA WERSJA BEZ CENZURY

MDW

Copyright © 2016 by Media Distribution Worldwide LTD.

Projekt okładki: Justyna Sokołowska
Redaktor prowadzący: Edyta Lubańska
Redakcja i korekta: Natalia Celer
Tłumaczenie: Natalia Celer
Copyright: © Olga Siemionow
Copyrights: © Media Distribution Worldwide LTD.

WYDAWCA:
Media Distribution Worldwide LTD.
2 Sheriffs Orchard
CV1 3PP Coventry
United Kingdom
www.mediadistributionworld.com

ISBN - 978-0-9954602-0-1

Spis treści:

Kto jest kto?

Stenogram narady u Führera

„Za kogo oni mnie tam uważają?” (zadanie)

Informacja do przemyslenia. Göring

Informacja do przemyslenia. Goebbels

Informacja do przemyslenia. Himmler

Informacja do przemyslenia. Himmler

Układ sił

Informacja do przemyslenia. Dulles

Informacja do przemyslenia. Schellenberg

Informacja do przemyslenia. Churchill

Informacja do przemyslenia. Bormann

Miara zaufania

Informacja do przemyslenia. Dulles

Czy w Bernie wszystko już przygotowane?

Swój pośród swoich

Rytm kilku chwil

Alogiczność logiki

Dobre intencje

Kto jest kto?

Początkowo Stirlitz nie uwierzył: w ogrodzie śpiewał słowik. Powietrze było chłodne, błękitnawe, i chociaż barwy dookoła były lutowe, ostrożne, zbita warstwa śniegu nie miała tej wewnętrznej nieśmiałej niebieskości, która zawsze poprzedza nocną odwilż.

Słowik dźwięczał w leszczynie opadającej ku rzece obok dąbrowy. Czerniały potężne konary starych drzew; w parku pachniało świeżo mrożoną rybą. Nie czuło się jeszcze towarzyszącego wiośnie silnego zapachu zeszłorocznych zbutwiałych liści brzoź i dębów, a mimo to ptak śpiewał donośnie – kłaskał, zanosił się bezbronnym, łamiącym się trelem w tym ciemnym cichym parku.

Stirlitz przypomniał sobie dziadka: starszy człowiek umiał rozmawiać z ptakami. Siadał pod drzewem, przywoływał sikorkę i długo patrzył na ptaszynę, a wówczas jego oczy upodabniały się do tych ptasich – bystrych czarnych koralików, no i ptaki wcale się go nie bały.

„Piń-piń-tarach!” – poświstywał dziadek.

I sikorki odpowiadały – ufnie i wesoło.

Słońce zaszło i czarne gałęzie drzew rzucały na biały śnieg równe fioletowe cienie.

„Zamarznie, biedny – pomyślał Stirlitz i, otuliwszy się płaszczem, skierował się ku domowi. – I nie można mu pomóc: tylko jeden ptak nie ufa ludziom, i to jest właśnie słowik”.

Popatrzył na zegarek.

„Klaus zaraz przyjdzie – pomyślał. – Zawsze jest punktualny. Sam go prosiłem, żeby ze stacji szedł lasem tak, aby nikogo nie spotkać. To nic. Poczekam. W parku jest tak pięknie”.

Tego agenta Stirlitz zazwyczaj przyjmował tutaj, w małej willi na brzegu jeziora – w swoim najwygodniejszym zakonspirowanym lokalu. Trzy miesiące namawiał obergruppenführera SS Oswalda Pohla, aby mu przyznał pieniądze na zakup willi należącej do dzieci tancerzy baletowych teatru operowego, którzy zginęli w czasie bombardowania. Spadkobiercy żądali sporo, toteż Pohl odpowiadający za politykę gospodarczą SS i SD odmawiał Stirlitzowi kategorycznie. „Pan zwariował – mówił – proszę wynająć coś skromniejszego. Skąd u pana to zamiłowanie do luksusu? Nie możemy szastać pieniędzmi na prawo i lewo! To nieuczciwe w stosunku do narodu, który dźwiga na swych barkach ciężar wojny”.

Stirlitz musiał więc przywieźć tu swojego przełożonego – szefa wywiadu politycznego służby bezpieczeństwa. Trzydziestoczteroletni brigadeführer SS Walter Schellenberg od razu zrozumiał, że o lepszym miejscu dla rozmów z poważnymi agentami nie może być mowy. Przez podstawione osoby sporządzono akt kupna i do willi wprowadził się główny inżynier państwowych zakładów chemicznych imienia Roberta Leya niejaki Bolsen, który otrzymał prawo do korzystania z rezydencji. On też zatrudnił dozorcę w zamian za wysokie wynagrodzenie i dobre wyżywienie. A Bolsenem był nikt inny jak standartenführer SS Max Otto von Stirlitz.

Kiedy skończył nakrywać do stołu, włączył radio. Londyn nadawał wesołą muzykę. Amerykański big-band pod kierownictwem Glena Millera grał utwór z filmu *Serenada w Dolinie Słońca*. Ten film spodobał się Himmlerowi i w Szwecji zakupiono jedną kopię. Od tej pory dość często wyświetlano go w podziemiach na Prinz-Albrecht-Strasse, szczególnie podczas nocnych bombardowań, kiedy nie można było przesłuchiwać aresztowanych.

Stirlitz zadzwonił na dozorcę, a gdy ten przyszedł, rzekł do niego:

– Dzisiaj może pan pojechać do miasta, do dzieci. Jutro proszę wrócić o szóstej rano, a jeśli do tej pory nie wyjadę, proszę mi zaparzyć mocnej kawy, najmocniejszej, jaką tylko pan potrafi...

12 lutego 1945 roku, 18.38

„– Jak pastor sądzi, czego w człowieku jest więcej: człowieka czy zwierzęcia?

– Myślę, że pół na pół.

– To niemożliwe.

– To pewne.

– Nie.

– Inaczej jedno z nich dawno by już zwyciężyło.

– Wyrzucacie nam, że apelujemy do czegoś przyziemnego, traktując czynnik duchowy jako ten wtórny. Czynnik duchowy rzeczywiście jest drugorzędny. A rośnie jak grzybek drożdżowy.

– I te drożdże to?

– Ambicja. Mówicie o niej »pożądanie«, ja natomiast nazywam zdrowym pragnieniem spać z kobietą i ją kochać. Jest to normalne dążenie do tego, by stać się najlepszym w tym, co się robi. Bez takich aspiracji ludzkości groziłoby uwstecznienie się. Kościół dołożył

wszelkich starań, by zahamować rozwój rodu ludzkiego. Pamięta pan, o jakim okresie w dziejach Kościoła mowa?

– Tak, oczywiście, znam ten okres. Doskonale znam, ale jestem też świadom czegoś innego. Nie postrzegam już różnicy między waszym stosunkiem do człowieka a tym, które głosi Führer w swoich wystąpieniach.

– Naprawdę?

– W rzeczy samej. Führer widzi w człowieku ambitną bestię. Zdrową, silną, dążącą do wywalczenia dla siebie jak największej życiowej przestrzeni.

– Pastor sobie nie wyobraża, jak bardzo nie ma racji, Führer widzi w każdym Niemcu nie zwykłą bestię, on widzi w nim bestię o blond włosach.

– A pan widzi w każdym człowieku bestię w ogólnym tego słowa znaczeniu.

– W każdym człowieku widzę to, od czego on pochodzi. A pochodzi od małpy. A małpa jest zwierzęciem.

– I tu się z panem nie zgadzam. Pan wierzy w to, że człowiek pochodzi od małpy; nie widział pan tej małpy, od której człowiek pochodzi, i ta małpa nic panu na ten temat nie szepnęła na ucho. Pan tego nie dotknął, nie może pan tego dotknąć. A wierzy pan w tę teorię dlatego, że taka wiara odpowiada pańskiej strukturze duchowej.

– A pastorowi Bóg powiedział na ucho, że to on stworzył człowieka?

– Naturalnie nikt mi niczego nie mówił, ja także nie jestem w stanie udowodnić istnienia Boga; tego nie można dowieść, w to można tylko wierzyć. Pan wierzy w małpę, ja wierzę w Boga. Pan wierzy w małpę dlatego, że taka wiara odpowiada pańskiej strukturze duchowej; ja wierzę w Boga dlatego, że jest to zgodne z moją strukturą duchową.

– Tutaj pastor pomieszał. Ja nie wierzę w małpę. Ja wierzę w człowieka.

– Który pochodzi od małpy. Pan wierzy w małpę w człowieku. A ja wierzę w Boga w człowieku.

– A Bóg znajduje się w każdym człowieku?

– Oczywiście.

– A gdzie można się go dopatrzeć w Führerze? Albo w Göringu? A gdzie ta boskość tkwi w Himmlerze?

– Zadaje pan trudne pytania. Mówimy przecież o naturze ludzkiej. W każdym z tych nikczemników rzecz jasna tkwią resztki upadłego anioła. Ale niestety całe ich jestestwo w tak dużym stopniu podporządkowało się prawom okrucieństwa, przymusu, kłamstwa, podłości i przemocy, że praktycznie nic ludzkiego już w nich nie zostało. Ja w zasadzie nie wierzę, że

gdy człowiek przychodzi na świat, koniecznie naznaczony jest klątwą tego, że pochodzi od małpy.

– A dlaczego małpie pochodzenie to »klątwa«?

– Mówię swoim językiem.

– Czy to oznacza, że należy ustanowić prawo boże nakazujące zniszczenie małp?

– Dlaczego aż tak...

– Pastor przez cały czas bardzo sprytnie wykręca się od odpowiedzi na pytania, które mnie męczą. Nie odpowiada pastor »tak« lub »nie«, a przecież każdy człowiek poszukujący wiary pragnie konkretów: tak lub nie. A u pana jest »ależ nie«, »jednak nie«, »raczej nie« i inne frazeologiczne odcienie słowa »tak«. I muszę przyznać, że właśnie to odpycha mnie nie tyle od pańskiej metody, ile od pańskiej działalności.

– Pan odnosi się z niechęcią do mojej działalności. Oczywiście... A jednak z obozu koncentracyjnego przyszedł pan właśnie do mnie. Ciekawe, jak to się ze sobą wiąże...

– To kolejny raz świadczy o tym, że w każdym człowieku tkwi, jak pastor mówi, pierwiastek boski i pierwiastek zwierzęcy. Gdybym miał tylko ten boski, to bym się do pana nie zwrócił. Nie uciekałbym, poniósłbym śmierć z rąk esesmańskich katów, nadstawiłbym drugi policzek, by obudzić w nich krztę człowieczeństwa. Jestem ciekaw, gdyby tak pastor trafił do nich, nadstawiłby pan drugi policzek czy postarałby się uniknąć spoliczkowania?

– Co to znaczy »nadstawić drugi policzek«? Pan znowu przenosi symboliczną przypowieść na realną maszynę nazistowskiego państwa. Co innego jest nadstawić policzek w przypowieści. Jak panu mówiłem, to przypowieść o ludzkim sumieniu. A co innego trafić do maszyny, która nie pyta człowieka, czy nadstawia on drugi policzek, czy nie, maszyny, która zgodnie z zasadami, z określoną ideą pozbawiona jest sumienia... Oczywiście, z maszyną czy z kamieniem na drodze, czy ze ścianą, na którą się pan natknie, nie będzie pan obcował tak, jak obcuje z innym stworzeniem.

– Pastorze, czuję się skrępowany, być może jestem niedyskretny, ale... Czy pan był kiedyś w gestapo?

– Cóż... Byłem tam.

– Rozumiem. Dla pastora to bolesne wspomnienie. Ale czy nie wydaje się pastorowi, że po wojnie owieczki nie potrafią panu wierzyć?

– Mało to ludzi było w gestapo?

– A jeśli ktoś szepnie parafianom, że ich pasterza wysyłano jako prowokatora do cel innych aresztowanych, tych, którzy nigdy stamtąd nie wrócili? A przecież tych, którzy

wrócili, jest garstka wobec milionów tych, którzy tam zostali... Nie do końca panu uwierzą. Komu wtedy będzie pastor głosił swoją prawdę?

– To zrozumiałe, że takimi sposobami można zniszczyć każdego, kogo tylko się zechce. W tym przypadku chyba nie będę mógł niczego naprawić.

– I co wtedy?

– Wtedy? Uważam, że moim zadaniem będzie demaskować kłamstwa. Demaskować tak długo, póki będą mnie słuchali. A gdy już przestaną słuchać, umrę duchowo.

– Duchowo. Ale to znaczy, że zostanie pastor żywym człowiekiem z krwi i kości?

– Pan Bóg zadecyduje. Może tak się stanie.

– Pańska religia zabrania samobójstwa?

– Właśnie dlatego go nie popełnię.

– A co pastor pocnie, gdy pozbawią go możliwości wygłaszania kazań?

– Będę wierzył bez wygłaszania kazań.

– A dlaczego nie widzi pastor dla siebie drugiego wyjścia, czyli pracować tak jak wszyscy?

– Co ma pan na myśli, mówiąc »pracować«?

– No chociażby dźwigać kamienie, aby budować z nich świątynie nauki.

– Jeśli człowiek, który skończył wydział teologii, potrzebny jest społeczeństwu tylko do dźwigania kamieni, to nie mamy o czym mówić. Rzeczywiście, wróć lepiej do obozu i niech mnie tam spalą w krematorium...

– Zadaję tylko proste pytanie: »A jeżeli?...«. Jestem bardzo ciekaw pańskiej opinii odnośnie do przyszłości, powiedzmy, skoncentrowania się na przyszłości.

– Sądzi pan, że osoba, która zwraca się do parafian z kazaniem, jest nierobem i szarlatanem? Nie uważa pan tego za pracę? Dla pana praca to dźwiganie kamieni, a ja uważam, że praca duchowa jest tak samo ważna jak każda inna, co więcej, jest nadzwyczaj ważna.

– Z zawodu jestem dziennikarzem, a moje artykuły spotykały się z bojkotem tak ze strony nazistów, jak i ze strony kościoła ortodoksyjnego.

– Były poddawane osądowi ze strony kościoła ortodoksyjnego z tej prostej przyczyny, że pan niewłaściwie traktował samego człowieka.

– Nie traktowałem człowieka. Opisywałem półświatek złodziei i prostytutek, którzy zamieszkiwali katakumby Bremy i Hamburga. Państwo hitlerowskie ogłosiło to nikczemnym oszczerstwem rzuconym na wyższą rasę, a kościół nazwał to oszczerstwem rzuconym na człowieka.

– My nie boimy się prawdy życia.

– Boicie się! Pokazywałem, jak ci ludzie próbowali szukać pomocy w Kościele, a Kościół ich odtrącał; właśnie parafianie odtrącali, a pastor nie mógł postępować przeciwko swoim wiernym.

– Oczywiście że nie mógł. Nie osądzam pana za prawdę. Osądzam pana nie za to, że ukazywał pan prawdę. Po prostu nie zgadzam się z panem co do wizerunku człowieka przyszłości.

– Nie sądzi pan, że odpowiada jak polityk, nie jak pastor?

– Pan widzi we mnie jedynie to, co jest utrwalone w pańskiej świadomości. Pan widzi we mnie polityczny kontur, który stanowi tylko jedną płaszczyznę. Tak samo można traktować suwak logarytmiczny, czyli jako narzędzie do wbijania gwoździ. Owszem, taki suwak jest na tyle długi i ma taką masę, że można nim wbić gwoździ. Ale to jest dziesiąta czy nawet dwudziesta funkcja tego przedmiotu, którego pierwotnym zadaniem jest liczenie, a nie wbijanie gwoździ.

– Pastorze, ja zadaję pytanie, a pastor, zamiast mi odpowiedzieć, wbija we mnie gwoździe. I tak sprytnie prowadzi rozmowę, że z osoby pytającej zamieniam się w osobę odpowiadającą na pytania. Pan bardzo szybko zamienia mnie, poszukiwacza, w heretyka. Dlaczego pastor utrzymuje, że jest ponad walką, chociaż też trwa w tej walce?

– Rzeczywiście, ja ciągle walcę, ciągle jestem ciągle w stanie wojny, ale ja walcę z wojną właśnie.

– Rozumuje pastor bardzo materialistycznie.

– W końcu dyskutuję z materialistą.

– A więc potrafi pastor walczyć ze mną moją własną bronią?

– Jestem do tego zmuszony.

– Proszę posłuchać... Dla dobra pańskich wiernych proszę, żeby skontaktował się pastor z moimi przyjaciółmi. Dam pastorowi adres. Powierzam panu adres moich towarzyszy... Przecież nie zdradzi pan niewinnych...”

Stirlitz skończył przesłuchiwać nagranie. Szybko się podniósł i podeszedł do okna, żeby nie nadziać się na spojrzenie tego, który wczoraj prosił pastora o pomoc, a dziś uśmiechał się, słuchając swego głosu, pił koniak i łapczywie zaciągał się papierosem.

– O papierosy u pastora było ciężko? – zapytał Stirlitz, nie odwracając się.

Stał przy oknie, dużym, na całą ścianę, i patrzył, jak wrony biją się na śniegu o chleb; dozorca dostawał podwójną porcję żywności i bardzo lubił ptaki. Nie wiedział, że Stirlitz

pracuje w SD, ale był całkowicie przekonany, że willa należy albo do homoseksualistów, albo do kupców prowadzących interesy na wielką skalę: ani razu nie przyjechała tu żadna kobieta, a gdy zbierali się mężczyźni, prowadzili długie i ciche rozmowy, jedli wyszukane potrawy, pili pierwszorzędne trunki, najczęściej amerykańskie.

– O tak, wymęczyłem się tam bez tytoniu. Staruszek to gaduła, a mnie aż skręcało bez fajek.

Agent nazywał się Klaus. Zwerbowano go dwa lata temu. Sam się do tego pchał: dawny korektor szukał mocnych wrażeń. Pracował jak artysta, rozbrajał swoich rozmówców szczerością i ostrością wypowiedzianych sądów. Mógł powiedzieć wszystko pod warunkiem, że wykona swoją pracę szybko i skutecznie. W miarę jak obserwował Klause, Stirlitz odczuwał narastający strach.

„A może on jest chory? – pomyślał któregoś razu. – Pragnienie zdrady to też swego rodzaju choroba. Co ciekawe, zdążył już prześcignąć samego Lombrosa – jest groźniejszy od wszystkich przestępców, których kiedykolwiek widziałem, a przy tym szalenie elegancki i miły”.

Wrócił do stolika, siadł naprzeciwko Klause i uśmiechnął się do niego.

– A więc? – zapytał. – Jest pan przekonany, że stary zorganizuje panu kontakt?

– Tak, to już załatwione. Najbardziej lubię pracować z inteligentami i duchownymi. Wie pan, czasem obserwuję ze zdumieniem, jak człowiek sam kroczy ku swojej zgubie. Miałem niekiedy nawet ochotę powiedzieć: „Stój, głupcze! Dokąd to?!”.

– Tego nie warto robić – powiedział Stirlitz. – To byłoby niemądre.

– Nie ma pan czasem konserw rybnych? Wariuję bez ryb. Fosfor, wie pan, zapotrzebowanie komórek mózgowych.

– Przyniosę panu doskonałe konserwy. Jakie pan chce?

– Lubię w oleju...

– Dobrze... Ale jakiej produkcji? Naszej czy...

– „Czy...” – Klaus roześmiał się. – Pewnie zabrzmi to mało patriotycznie, ale bardzo lubię jedzenie i napoje wyprodukowane w Ameryce albo we Francji...

– Przygotuję dla pana skrzynkę prawdziwych sardynek francuskich. W oliwie, bardzo pikantne... Mnóstwo fosforu... Wie pan, wczoraj przejrzałem pańskie akta.

– Dużo bym dał, żeby w nie zajrzeć.

– Nie są tak interesujące, jak by się mogło wydawać. Kiedy pan mówi, śmieje się, skarży na ból wątroby, to robi wrażenie, jeśli wziąć pod uwagę, że wcześniej przeszedł pan niebezpieczną operację... A w pańskich aktach wieje nudą: same raporty, donosy...

Wszystko się pomieszało: pańskie donosy, donosy na pana... Nieciekawie... Zainteresowało mnie jednak co innego: podliczyłem, że dzięki pańskiej inicjatywie zostało aresztowanych dziewięćdziesiąt siedem osób... Przy czym każda z nich milczała na pański temat. Każda bez wyjątku. A przecież w gestapo ostro się za nich wzięli...

– Dlaczego pan mi o tym mówi?

– Nie wiem. Próbuję chyba analizować... Czy bolało pana, że ludzi, którzy dawali panu schronienie, potem zabierano?

– A jak pan myśli?

– Nie wiem.

– Bo ja wiem? Chyba czułem się mocny, gdy zaczynałem z nimi walczyć. Mnie interesowało starcie. To, co się z nimi stanie – nie wiem... A co się stanie z nami? Ze wszystkimi ludźmi na świecie?

– Też prawda – zgodził się Stirlitz.

– Po nas choćby potop. A poza tym nasi ludzie to lęk, łotrostwo, skąpstwo, donosy. W każdym z nich, po prostu w każdym. Wśród niewolników nie można być w pełni wolnym. Można być co najwyżej najbardziej wolnym wśród nich. Ja w ciągu tych wszystkich lat korzystałem z całkowitej duchowej swobody.

– A kto był u pastora przedwczoraj wieczorem? – zapytał nagle Stirlitz.

– Nikt.

– Około dziewiątej.

– Pan się myli – odpowiedział Klaus. – W każdym razie od was nikogo nie było. Byłem sam.

– Może to był parafianin? Moi ludzie nie widzieli wyraźnie twarzy.

– Obserwowaliście jego dom?

– Oczywiście, przez cały czas... Jest pan przekonany, że stary będzie pracował dla pana?

– Będzie. W ogóle czuję w sobie powołanie opozycjonisty, trybuna, wodza. Ludzie podporządkowują się mojej energii, logice myślenia.

– Dobrze. Zuch z pana! Tylko niech się pan zanadto nie przechwala. Teraz pomówmy o samej sprawie... Kilka dni pomieszka pan w jednym z naszych mieszkań... A to dlatego, że później czeka pana poważna robota, w dodatku nie z mojej działki...

Stirlitz mówił prawdę: koledzy z gestapo poprosili go, by wypożyczył im Klausa na tydzień; w Kolonii złapano dwóch rosyjskich radiotelegrafistów. Ujęto ich w podczas pracy,

przy nadajniku. Milczeli, więc trzeba im było podsunąć jakiegoś dobrego człowieka. Klaus był najlepszy, więc Stirlitz obiecał go odnaleźć.

– Niech pan wyjmie kartkę papieru z szarej teczki – powiedział Stirlitz. – Proszę pisać: „Standartenführerze! Jestem śmiertelnie zmęczony, u kresu sił. Uczciwie pracowałem, ale dalej już nie mogę. Muszę odpocząć...”.

– Po co to? – zapytał Klaus, podpisując list.

– Myślę, że nie zaszkodzi panu tygodniowy pobyt w Innsbrucku – odpowiedział Stirlitz, podając mu paczkę banknotów. – Tam działa kasyno, a z gór zjeżdżają młode narciarki. Bez tego listu nie będę w stanie podarować panu tygodnia szczęścia.

– Dziękuję – powiedział Klaus – mam dość pieniędzy...

– Nie zawadzi mieć więcej, co? A może nie mam racji?

– No cóż, nie zawadzi – zgodził się Klaus, chowając paczkę do tylnej kieszeni spodni.

– Mówią, że leczenie rzeźączki jest teraz bardzo kosztowne...

– No więc proszę wyteżyc pamięć: nikt pana nie widział u pastora?

– Nie muszę wyteżać pamięci. Nikt.

– Mam na myśli i naszych ludzi.

– Jeśli wasi ludzie prowadzili obserwację domu starego, mogli mnie zauważyć. Ale raczej nie... Ja nie widziałem nikogo...

Stirlitz przypomniał sobie, jak tydzień temu Klaus wkładał ubranie więźnia, zanim zorganizowano spektakl z przepędzeniem aresztowanych przez wioskę, w której mieszkał obecnie pastor Schlag. Przypomniał sobie twarz swojego agenta sprzed tygodnia: jego oczy promieniały dobrocią i męstwem, już wszedł w rolę, jaką miał odegrać. Wtedy Stirlitz mówił z nim inaczej, dlatego że w samochodzie siedział obok niego święty – przemawiały za tym jego uduchowiona twarz, pełen bólesci głos i konkretne odpowiedzi, jakich udzielał.

– Ten list wrzucimy po drodze do pańskiego nowego mieszkania – powiedział Stirlitz.

– I niech pan napisze jeszcze jeden, do pastora, żeby nie było podejrzeń. Niech pan spróbuje napisać go sam. Nie będę przeszkadzał, zaparzę kawę.

Kiedy wrócił, Klaus trzymał w ręku kartkę papieru.

– „Uczciwość wiąże się z działaniem – zaczął czytać z lekką kpina – podstawą wiary jest walka. Nauczanie uczciwości przy pełnej beczynności to zdrada: zdrada i wiernych, i samego siebie. Człowiek może sobie darować nieuczciwość, potomność nigdy jej nie podaruje. Dlatego nie mogę wybaczyć sobie beczynności. Bezczynność to gorzej niż zdrada. Odchodzę. Niech pastor usprawiedliwi siebie z bożą pomocą”. No jak? Dobrze?

– Ostro. A nie próbował pan pisać prozy? Albo wierszy?

– Nie. Gdybym potrafił pisać, czy zostałbym... – Klaus nagle urwał i spojrzał ukradkiem na Stirlitza.

– Dziwny z pana człowiek. Proszę mówić dalej. Rozmawiamy przecież otwarcie. Chciał pan powiedzieć, że gdyby umiał pan pisać, nie zaczęłby pan pracować dla nas?

– Coś w tym sensie.

– Nie coś w tym sensie – poprawił go Stirlitz – ale właśnie to pan chciał powiedzieć. Prawda?

– Tak.

– Brawo. Dlaczego miałby pan kłamać przede mną? Proszę dopić koniak i ruszamy. Już się ściemniło, jankesi chyba niedługo przylecą.

– To mieszkanie jest daleko?

– W lesie, dziesięć kilometrów stąd. Tam jest cicho, wyśpi się pan spokojnie do jutra...

Już w samochodzie Stirlitz zapytał:

– Pastor nic nie wspomniał o byłym kanclerzu Brüningu?

– Przecież już panu mówiłem: od razu się zaciął. Bałem się na niego naciskać.

– Postąpił pan właściwie... O Szwajcarii też milczał?

– Ani mru-mru.

– Dobrze. Dobierzemy się do niego z innej strony. Ważne, że zgodził się pomagać komuniście. To ci dopiero pastor!

Stirlitz zabił Klause strzałem w skroń. Stali nad brzegiem jeziora. Znajdowali się w strefie zakazanej, ale posterunek straży – dobrze to wiedział – był oddalony o dwa kilometry. Ponadto zaczął się już nalot, a w czasie nalotu wystrzału z pistoletu nie słychać. Stirlitz tak to wyliczył, żeby Klaus spadł z betonowej platformy – przedtem łowili tu ryby – prosto do wody.

Trup wpadł do jeziora jak worek. Stirlitz rzucił w to samo miejsce pistolet (wersja samobójstwa spowodowana wyczerpaniem nerwowym była bardzo prawdopodobna, wskazywały na nią listy wysłane przez samego Klause), zdjął rękawiczki i poszedł przez las do swojego samochodu. Wioska, w której mieszkał pastor Schlag, była oddalona o czterdzieści kilometrów. Stirlitz obliczył, że dotrze do niej w ciągu godziny. Przewidział wszystko, nawet możliwość zdobycia alibi na ten czas.

12 lutego 1945 roku, 19.56

(Z partyjnej charakterystyki obergruppenführera SS Friedricha Krügera, członka NSDAP od 1930 roku: „Czysty Aryjczyk, oddany Führerowi. Typ nordycki, twardy. Wobec przyjaciół koleżeński i towarzyski; bezlitosny w stosunku do wrogów Rzeszy. Wzorowy mąż i ojciec; nie miał kompromitujących kontaktów. W pracy okazał się mistrzem w swoim fachu...”)

Po tym, jak Rosjanie w styczniu 1945 roku zdobyli Kraków, i miasto, tak starannie zaminowane, nie ucierpiało w najmniejszym stopniu, szef Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy Ernst Kaltenbrunner wezwał do siebie Krügera, byłego dowódcę SS i policji w Generalnym Gubernatorstwie.

Kaltenbrunner długo milczał, przyglądając się dużej mięsistej twarzy generała, a potem bardzo cicho zapytał:

– Czy ma pan jakieś wystarczająco obiektywne usprawiedliwienie, żeby Führer mógł panu uwierzyć?

Prostoduszny na pierwszy rzut oka mężczyzna o wyglądzie parobczaka, Krüger oczekiwał tego pytania. Już zawnazsu przygotował odpowiedź. Ale przedtem musiał odegrać swoją rolę. W ciągu piętnastu lat członkostwa w partii i przynależności do SS zdążył się nauczyć aktorstwa. Wiedział, że od razu odpowiadać nie można, podobnie jak nie można całkowicie zaprzeczać swej winie. Nawet w domu łapał się na tym, że stał się zupełnie innym człowiekiem. Początkowo, choć rzadko, rozmawiał z żoną szeptem, po nocach, ale wraz z rozwojem specjalnej techniki – a jak nikt inny orientował się, w jakim stopniu była ona zaawansowana – przestał w ogóle mówić o tym, o czym czasami pozwalał sobie myśleć. Nawet kiedy spacerowali razem z żoną po lesie, milczał albo mówił o głupstwach: w centrali w każdej chwili mogli wynaleźć aparat nagrywający z odległości co najmniej kilometra.

Stopniowo dawny Krüger przestał istnieć; w jego miejsce, w miejsce znanego wszystkim i zewnątrz tego samego człowieka, pojawił się inny, stworzony przez poprzedniego, nikomu nieznanego generała, który bał się nie tyle mówić prawdę, ile pozwolić sobie myśleć prawdę.

– Nie – powiedział Krüger, nachmurzywszy się, i stłumił westchnienie z wielkim uczuciem i z wielkim trudem – nie mam wystarczającego usprawiedliwienia... I nie mogę mieć. Jestem żołnierzem, trwa wojna, toteż nie oczekuję pobjaźliwości.

Szedł na całość. Wiedział, że im bardziej surowy będzie wobec siebie, tym mniej atutów zostawi w rękach obergruppenführera SS.

– Niech pan nie będzie babą – powiedział Kaltenbrunner, zapalając papierosa. – Trzeba przeanalizować fiasko, żeby to się nie powtórzyło.

Krüger zrozumiał, że wybrał właściwą linię postępowania.

– Obergruppenführerze – zaczął – rozumiem, że moja wina jest olbrzymia. Ale chciałbym, żeby pan wysłuchał standartenführera Stirlitza. Stirlitz był obeznany z naszą operacją w szczegółach i może potwierdzić, że wszystko zostało przygotowane jak najstaranniej i najrzetelniej.

– Jaki związek z operacją miał Stirlitz? – Kaltenbrunner wzruszył ramionami. – On jest z wywiadu, w Krakowie zajmował się innymi problemami.

– Wiem, że w Krakowie zajmował się zaginionym V-2, ale uważałem za swój obowiązek wtajemniczyć go we wszystkie szczegóły naszej operacji. Sądziłem, że po powrocie do Berlina zamelduje albo reichsführerowi, albo panu o tym, jak zorganizowaliśmy pracę. Oczekiwałem od pana jakichś dodatkowych poleceń, ale żadnego nie otrzymałem.

Kaltenbrunner przywołał sekretarza:

– Proszę, niech się pan dowie, czy Stirlitz z szóstego departamentu był umieszczony na liście osób włączonych do operacji Schwarzerze, czy był przyjęty przez kierownictwo po przyjeździe z Krakowa, a jeśli tak, to przez kogo. Proszę także dopytać, jakie tematy poruszał w rozmowie.

Krüger zrozumiał, że zbyt wcześnie wystawił Stirlitza na cios. Opuścił głowę i zaczął mówić:

– Całą winę ponoszę ja osobiście – wyrzucał głucho z siebie ciężkie słowa. – Będzie mi bardzo przykro, jeśli pan ukarze Stirlitza. Niezmiernie go szanuję jako oddanego żołnierza. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie i mogę zmazać swoją winę tylko krwią na polu bitwy.

– A kto będzie walczył z wrogami tutaj?! Ja?! Sam?! Umrzeć za ojczyznę i za Führera na froncie? To zbyt proste! O wiele bardziej skomplikowane jest tkwić tutaj, w deszczu bomb, i wypalać rozżarzoną żelazną wszelkie paskudztwo! Tutaj jest potrzebne nie tylko męstwo, ale i rozum! Dużo rozumu, Krüger!

Krüger pojął: na front go nie wysłać.

Sekretarz bezszelestnie otworzył drzwi i położył na biurku Kaltenbrunnera kilka cienkich teczek. Obergruppenführer przejrzał ich zawartość i popatrzył pytająco na sekretarza.

– Nie – powiedział ten. – Po przyjeździe z Krakowa Stirlitz od razu rozpoczął prace związane z poszukiwaniem strategicznego nadajnika, pracującego dla Moskwy...

Krüger postanowił kontynuować swoją grę, pomyślał bowiem, że Kaltenbrunner, jak wszyscy okrutni ludzie, jest skrajnie sentymentalny.

– Obergruppenführerze, mimo wszystko proszę pana o pozwolenie udania się na front.

– Niech pan siada – powiedział Kaltenbrunner. – Jest pan generałem, a nie babą. Dzisiaj może pan odpocząć, ale jutro opisz mi pan ze wszystkimi szczegółami całą operację. Wtedy pomyślimy, dokąd pana skierować. Ludzi mało, a pracy dużo, Krüger. Bardzo dużo.

Gdy Krüger wyszedł, Kaltenbrunner wezwał ponownie sekretarza i powiedział:

– Zbierzcie dla mnie wszystkie dane o Stirlitzu za ostatnie dwa lata, ale tak, aby nie dowiedział się o tym Schellenberg. Stirlitz jest cennym pracownikiem i odważnym człowiekiem i nie należy rzucać na niego cienia. Po prostu zwyczajna przyjacielska kontrola wzajemna... I proszę przygotować nominację dla Krügera: wyślemy go na zastępcę szefa gestapo w Pradze, tam jest teraz gorąco.

15 lutego 1945 roku, 20.30

(Z partyjnej charakterystyki obersturmbannführera SS Karla Holtoffa (IV departament RSHA), członka NSDAP od 1938 roku: „Czysty Aryjczyk. Typ zbliżony do nordyckiego, odporny. Z kolegami w pracy utrzymuje dobre stosunki. Ma bardzo dobre wyniki w pracy. Sportowiec. Bezlitosny w stosunku do wrogów Rzeszy. Kawaler. Związków kompromitujących go nie stwierdzono. Odznaczony nagrodami Führera, ma podziękowania reichsführera SS...”)

Stirlitz postanowił, że dzisiaj zwolni się wcześniej i pojedzie z Prinz-Albrecht-Strasse do Nauen. Tam, w lesie przy rozwidleniu dróg, znajdowała się maleńka restauracyjka Paula. Syn Paula, beznogi Kurt, zawsze jakimś cudem (i przed rokiem, i przed pięciu laty) zdobywał wieprzowinę i ugaszczał swoich stałych klientów prawdziwą golonką z kapustą.

Gdy nie było bombardowań, mogło się wydawać, że wojny w ogóle nie ma. Radiola grała tak samo jak dawniej, a niski głos Brunona Warnke śpiewał: „O, jak pięknie było tam nad Müggelsee...”.

Stirlitzowi nie udało się jednak wyrwać wcześniej. Przyszedł do niego Holtoff z gestapo i powiedział:

– Wygląda na to, że się całkowicie zaplątałem. Albo mój aresztowany jest psychicznie chory, albo trzeba przekazać go wam, wywiadowi. Ten facet w kółko powtarza to, co mówią przez radio angielskie świni.

Stirlitz poszedł do gabinetu Holtoffa i przesiedział tam do dziewiątej wieczorem, słuchając histerycznych krzyków astronoma aresztowanego w Wannsee przez miejscowe gestapo.

– Czy wy nie macie oczu?! – krzyczał astronom. – Nie rozumiecie, że wszystko skończone? Że zginęliśmy? Czy nie pojmujecie, że każda nowa ofiara to zbrodnia? Cały czas twierdziliście, że występujecie w imieniu narodu. A więc odejdźcie! Pomóżcie resztkom tego narodu! Skazujecie na zgubę nieszczęsne dzieci! Jesteście fanatykami, nienasyconymi fanatykami, którzy dorwali się do władzy! Jesteście syci, palicie papierosy i pijecie kawę! Dajcie nam żyć jak ludziom! – Nagle zamilkł, wytarł pot z czoła i zakończył cicho: – Albo zabijcie mnie tutaj jak najprędzej ...

– Niech pan poczeka – powiedział Stirlitz. – Krzyk to żaden argument. Ma pan jakieś konkretne propozycje?

– Co? – z lękiem zapytał mężczyzna.

Spokojny głos Stirlitza, jego powolny sposób mówienia i lekki uśmiech oszołomiły astronoma, który przyzwyczaił się w więzieniu do wrzasków i bicia. Okazuje się, że do takich rzeczy przywyka się szybko, a odzwyczajają się od nich powoli.

– Pytam, jakie są pana konkretne propozycje. W jaki sposób, pańskim zdaniem, mamy ocalić dzieci, kobiety, starców? Co należy zrobić w tym celu? Krytykować i złościć się – to proste. Natomiast znacznie trudniej przedstawić rozsądny plan działania.

– Odrzucam astrologię – odpowiedział astronom – ale chylę czoła przed astronomią. Pozbawiono mnie katedry w Bonn...

– Ach, to dlatego tak się złościysz, ty psie?! – krzyknął Holtoff.

– Proszę pana... – Stirlitz zmarszczył z irytacją brwi. – Naprawdę nie trzeba krzyczeć... Niech pan mówi dalej...

– Żyjemy w roku niespokojnego słońca. Erupcja protuberancji, wysłanie olbrzymiej dodatkowej masy energii słonecznej wpływają na ciała niebieskie, na planety i gwiazdy, wpływają na naszą małą ludzkość...

– Zakładam, że pan postawił już jakiś horoskop – powiedział Stirlitz.

– Horoskop to intuicyjna, być może nawet genialna bezpodstawność. Nie, ja wychodzę ze zwykłej, zupełnie niegenialnej hipotezy, jaką próbowałem postawić, o wzajemnym powiązaniu wszystkiego, co żyje na ziemi, z niebem i ze słońcem... Pomaga mi to dokładniej i trzeźwiej ocenić to, co dzieje się na mojej ojczystej ziemi...

– Z przyjemnością porozmawiam z panem dłużej na ten temat – oświadczył Stirlitz. – Przypuszczam, że mój przyjaciel pozwoli panu pójść teraz do celi, odpocząć parę dni, a później do tego wrócimy.

Kiedy mężczyznę wyprowadzono, Stirlitz rzekł:

– Ten człowiek jest w pewnym stopniu niepoczytalny, czyżbyś tego nie widział? Wszyscy uczeni, pisarze i artyści są w jakiś sposób niepoczytalni. Trzeba mieć do nich specjalne podejście, bo ci ludzie żyją swoim, wymyślonym przez nich samym życiem. Skieruj tego oryginała do naszego szpitala na badania. Mamy teraz zbyt wiele ważnej pracy, żeby tracić czas na nieodpowiedzialnych, chociaż być może utalentowanych gadułów.

– Ale on mówi jak prawdziwy Anglik z londyńskiego radia... Albo przekłety socjaldemokrata, który się zwąchał z Moskwą.

– Ludzie wynaleźli radio po to, żeby go słuchać. I on się nasłuchiwał. Nie, to niepoważne. Będzie sensowniej, jeśli spotkamy się z nim za parę dni. O ile to rzeczywiście poważny naukowiec, zwrócimy się do Müllera albo Kaltenbrunnera z prośbą, aby dali mu dobry przydział i ewakuowali go w góry, gdzie znajduje się teraz kwiat naszej nauki. Niech pracuje; kiedy będzie miał dużo chleba z masłem i wygodny domek w sosnowym lesie, na który nie spadają bomby, przestanie gadać głupstwa. Nieprawdaż?

Holtoff uśmiechnął się i odpowiedział:

– Gdyby każdy miał swój domek w górach, dużo chleba z masłem i nie byłoby żadnych bombardowań, nikt by nie gadał...

Stirlitz popatrzył uważnie na Holtoffa, a ten, nie wytrzymawszy jego spojrzenia, zaczął nerwowo przekładać papiery na biurku z miejsca na miejsce. Minęła dłuższa chwila, nim Stirlitz uśmiechnął się do swojego młodszego kolegi szeroko i życzliwie.

15 lutego 1945 roku, 20.44

Stenogram narady u Führera

„Obecni: Wilhelm Keitel, Alfred Jodl, Otto Hawel – przedstawiciel ministerstwa spraw zagranicznych, reichsleiter Martin Bormann, gruppenführer SS Hermann Fegelein – oficer łącznikowy kwatery głównej reichsführera SS, minister przemysłu Rzeszy Albert Speer, a także admirał Hans-Erich Voss, komandor podporucznik Walter Lüdde-Neurath, admirał Karl-Jesko von Puttkamer, adiutanci, stenografistki.

Bormann: Kto tam ciągle chodzi? To przeszkadza! I proszę ciszej, panowie oficerowie.

Puttkamer: Poprosiłem pułkownika von Below, żeby złożył mi sprawozdanie z sytuacji Luftwaffe we Włoszech.

Bormann: Nie chodzi mi o pułkownika. Wszyscy mówią jednocześnie, i przez to powstaje dokuczliwy szum.

Hitler: Mnie to nie przeszkadza. Panie generale, na mapę nie zostały naniesione dzisiejsze zmiany w Kurlandii.

Jodl: Mój Führerze, proszę zwrócić uwagę: oto poprawki z dzisiejszego poranka.

Hitler: Znaczkę na mapie są bardzo drobne. Dziękuję, teraz widzę.

Keitel: Generał Guderian znowu nalega na wyprowadzenie naszych dywizji z Kurlandii.

Hitler:: To niemądre. Teraz wojska generała Rendulica, które zostały na tyłach Rosjan, czterysta kilometrów od Leningradu, ściągają do siebie od czterdziestu do siedemdziesięciu rosyjskich dywizji. Jeśli wycofamy stamtąd naszą armię, stosunek sił pod Berlinem od razu się zmieni, i to bynajmniej nie na naszą korzyść, jak to się wydaje Guderianowi. Jeśli więc wycofamy wojska z Kurlandii, to na każdą niemiecką dywizję pod Berlinem przypadną przynajmniej trzy rosyjskie.

Bormann: Trzeba być trzeźwym politykiem, panie feldmarszałku...

Keitel: Jestem wojskowym, a nie politykiem.

Bormann: To nierozdzielne pojęcia w czasach wojny totalnej.

Hitler: Żeby ewakuować wojska stacjonujące teraz w Kurlandii, potrzeba, jak wiemy z doświadczenia z operacji Lipawa, co najmniej pół roku. To śmieszne. Zostały nam godziny, właśnie godziny, żeby odnieść zwycięstwo. Każdy, kto umie patrzeć, analizować, wyciągać wnioski, zobowiązany jest odpowiedzieć sobie na jedno, jedyne pytanie: czy możliwe jest bliższe zwycięstwo? Przy tym nie proszę o bezmyślnie kategoryczną odpowiedź. Nie urzęduję ślepa wiara, szukam mądrej wiary. Nigdy dotąd świat nie znał tak paradoksalnego, pełnego sprzeczności sojuszu, jakim jest koalicja aliantów. Podczas gdy cele Rosji, Anglii i Ameryki są diametralnie przeciwstawne, nasz cel jest wspólny dla nas wszystkich. Podczas gdy ich działania kierowane są różnorodnością ideologii, my mamy jedno dążenie, któremu podporządkowane jest całe nasze życie. Podczas gdy sprzeczności między aliantami zwiększają się i będą się zwiększały, nasza jedność, jak nigdy dotąd, stała się monolitem; walczyłem o to przez wiele lat tej ciężkiej wielkiej kampanii. Próbować burzyć koalicję naszych wrogów za pomocą środków dyplomatycznych czy jakichś innych to utopia. W najlepszym razie utopia, jeśli nie przejaw paniki i utrata wszelkich perspektyw. Jedynie zadając im ciężkie ciosy na polu walki, jedynie demonstrując niezłomność naszego ducha i niezniszczalność naszej siły, przyspieszymy koniec tej koalicji, która rozpadnie się przy

wtórce naszych zwycięskich armat. Nic tak nie działa na demokracje zachodnie jak demonstracja siły. Nic tak nie otrzeźwi Stalina jak zakłopotanie Zachodu z jednej strony i nasze ciosy – z drugiej. Proszę wziąć pod uwagę, że Stalinowi przyjdzie teraz prowadzić wojnę nie w lasach Briańska i nie na polach Ukrainy. Jego wojska znajdują się na terytorium Polski, Rumunii i Węgier. Po bezpośrednim zetknięciu się z „obczyzną” Rosjanie już są osłabieni i w pewnym stopniu zdemoralizowani. Ale nie na Rosjan i nie na Amerykanów zwracam w tym momencie całą swoją uwagę. Kieruję swój wzrok na Niemców! Tylko nasz naród może odnieść i jest zobowiązany odnieść zwycięstwo! Dziś cały kraj stał się obozem warownym. Cały kraj – a więc mam na myśli Niemcy, Austrię, Norwegię, część Węgier i Włoch, znaczną część terytorium Protektoratu Czech i Moraw, Danię, część Holandii. To serce europejskiej cywilizacji. To koncentracja mocy – materialnej i duchowej. W nasze ręce dostał się budulec zwycięstwa. Od nas, wojskowych, zależy, w jakim stopniu i jak szybko wykorzystamy ten budulec dla naszego zwycięstwa. Uwierzcie mi, po pierwszych druzgocących ciosach naszych armii koalicja sojuszników rozsypie się. Egoistyczne interesy każdego z nich wezmą górę nad strategicznym postrzeganiem problemu. Aby przybliżyć godzinę naszego zwycięstwa, proponuję: szósta armia pancerna SS zacznie kontrnatarcie pod Budapesztem, zabezpieczając tym samym trwałość południowego bastionu narodowego socjalizmu w Austrii i na Węgrzech z jednej strony i przygotowując wyjście na skrzydło Rosjan z drugiej. Proszę wziąć pod uwagę, że właśnie tam, na południu, w Nagykáta, mamy siedemdziesiąt tysięcy ton ropy naftowej. Nafta to krew pulsująca w arteriach wojny. Prędzej zgodzę się na poddanie Berlina niż na utratę tej ropy, która gwarantuje mi utrzymanie Austrii oraz jej wspólność z włoskim milionowym ugrupowaniem Kesselringa. Dalej. Grupa armii Wisła, zebrawszy rezerwy, przeprowadzi decydujące kontrnatarcie na skrzydła Rosjan, wykorzystując do tego przyczółek Pomorza. Wojska reichsführera SS, przerwawszy obronę Rosjan, wyjdą na ich tyły i przejmą inicjatywę, wspierane przez grupę Stettin przetną front Rosjan. Sprawa dowozu rezerw to dla Stalina prawdziwy problem. Odległości działają przeciwko niemu. A dla nas to są same korzyści. Siedem linii obronnych wokół Berlina praktycznie czyni go niedostępnym, ponadto pozwoli nam naruszyć kanony sztuki wojennej i przerzucić na zachód znaczną grupę wojsk z południa i północy. Czas zadziała na naszą korzyść! Stalin będzie potrzebował dwa, trzy miesiące na przegrupowanie posiłków. My przerzucimy armię w pięć dni. Będą temu sprzyjały odległości między miastami w Niemczech, jak również to, że rzucimy wyzwanie tradycyjnej strategii.

Jo d1: Byłoby jednak wskazane połączyć tę kwestię z tradycyjną strategią...

Hitler: Mówimy nie o detalach, lecz o całości. Szczegóły można ustalić w sztabach przez grupy specjalistów. Wojskowi mają ponad cztery miliony ludzi zorganizowanych w mocną pięść oporu. Zadanie polega na tym, żeby tą mocną pięścią zadać druzgocący cios. Stoimy obecnie w granicach z sierpnia 1938 roku. Jesteśmy jednością. My, naród niemiecki. Nasz przemysł zbrojeniowy produkuje cztery razy więcej broni i sprzętu bojowego niż w 1939 roku. Nasza armia jest dwa razy większa. Nasza nienawiść jest ogromna, a wola zwycięstwa niezmierzona. Więc pytam was: czyż nie wygramy pokoju drogą wojny? Czyż ogromny sukces wojskowych nie rodzi sukcesu polityków?

Keitel: Reichsleiter Bormann tak właśnie powiedział: wojskowy jest dziś równocześnie politykiem.

Bormann: Nie zgadza się pan?

Keitel: Zgadzam się.

Hitler: Proszę mi na jutro przygotować konkretne propozycje, panie feldmarszałku.

Keitel: Tak, mój Führerze. Przygotujemy zarys ogólny, a jeśli pan go zatwierdzi, zaczniemy rozpracowywanie wszystkich szczegółów”.

Gdy wszyscy zaproszeni się rozeszli po zakończeniu narady, Bormann wezwał do siebie dwie stenografistki.

– Proszę zaszyfrować pilnie to, co wam teraz podyktuję, i dopilnować rozesłanie w imieniu kwatery głównej do wszystkich wyższych oficerów Wehrmachtu. A więc: „W swoim historycznym przemówieniu w dniu 15 lutego w kwaterze głównej nasz Führer naświetlił położenie niemieckich armii na frontach, ponadto powiedział: »Nigdy dotąd świat nie znał tak paradoksalnego, pełnego sprzeczności sojuszu, jakim jest koalicja aliantów«. Następnie...”.

„Za kogo oni mnie tam uważają?”

(zadanie)

(Z partyjnej charakterystyki standartenführera SS Maxa Otto von Stirlitza (VI departament RSHA), członka NSDAP od 1933 roku: „Czysty Aryjczyk. Typ nordycki, opanowany. Z kolegami w pracy utrzymuje dobre stosunki. Bez zarzutu wypełnia obowiązki służbowe. Bezlitosny w stosunku do wrogów Rzeszy. Znakomity sportowiec: mistrz Berlina w tenisie. Kawaler. Nie miał kompromitujących kontaktów. Odznaczony nagrodami Führera, ma podziękowania reichsführera SS...”)

Stirlitz wrócił do domu o zmierzchu. Lubił luty: śniegu prawie nie było, rankiem słońce oświetlało wysokie wierzchołki sosen i wydawało się, że jest już lato i można pojechać nad Müggelsee łowić ryby lub drzemać na leżaku.

W swojej niewielkiej willi w Babelsbergu blisko Poczdamu mieszkał teraz zupełnie sam. jego gospodyni tydzień temu wyjechała do Turyngii do krewnych (załamała się nerwowo z powodu niekończących się nalotów).

Teraz sprzątała u niego młodziutka córka właściciela knajpki Dom Myśliwego.

„Na pewno Saksonka – pomyślał Stirlitz, patrząc, jak dziewczyna radzi sobie z dużym odkurzaczem w salonie. – Czarna, a oczy ma niebieskie. Mówi co prawda z berlińskim akcentem, ale mimo wszystko pochodzi chyba z Saksonii”.

– Która godzina? – zapytał.

– Około siódmej.

Stirlitz się uśmiechnął. „Szczęśliwa dziewczyna... Może sobie pozwolić na to »około siódmej«. Najszczęśliwsi ludzie na ziemi to ci, których stać na luksus nieliczenia się z czasem bez obawy o następstwa... Mówi jednak jak mieszkanka Berlina. Nawet z domieszką dialektu meklemburskiego...”

Usłyszawszy szum nadjeżdżającego samochodu, zawołał:

– Zobacz, dziecko, kogo tam przyniosło.

Po chwili dziewczyna zajrzała do niewielkiego gabinetu. Jej chlebodawca siedział w wygodnym fotelu obok kominka.

– Ktoś z policji do pana – oznajmiła.

Stirlitz wstał, przeciągnął się, aż mu zachręściło w kościach, i poszedł do przedpokoju. Zastał tam unterscharführera SS trzymającego w ręku duży koszyk.

– Panie standartenführerze, pański kierowca zachorował, przywiozłem w zastępstwie przydział dla pana.

– Dziękuję – powiedział Stirlitz. – Proszę włożyć do lodówki. Ta młoda osoba panu pomoże.

Nie wyszedł odprowadzić gościa, gdy ten opuszczał dom. Otworzył oczy dopiero wtedy, kiedy do gabinetu znów weszła bezszelestnie dziewczyna i, zatrzymawszy się u drzwi, cicho powiedziała:

– Jeśli *Herr* Stirlitz chce, mogę zostawać i na noc.

„Pewnie po raz pierwszy zobaczyła naraz tyle jedzenia – zgadł. – Biedna dziewczyna”.

Znowu się przeciągnął i odrzekł:

- Moje dziecko... połowę kielbasy i ser możesz sobie wziąć i bez tego...
- Co też pan, *Herr* Stirlitz – odpowiedziała. – Ja nie z powodu jedzenia....
- Jesteś we mnie zakochana, tak? Szalejesz za mną? Śnią ci się moje siwe włosy?
- Siwi mężczyźni podobają mi się najbardziej na świecie.
- Dobrze, dziecko, do siwizny jeszcze wrócimy. Po twoim ślubie... Jak masz na imię?
- Marie... Już panu mówiłam... Marie.
- Tak, tak, wybac mi, Marie. Weź kielbasę i już mnie nie kokietuj. Ile masz lat?
- Dziewiętnaście.
- O, zupełnie dorosła z ciebie dziewczyna. Dawno przyjechałaś z Saksonii?
- Dawno. Kiedy przeprowadzili się tu moi rodzice.
- No to idź już, Marie, idź, odpocznij. Obawiam się, że zaraz zaczniesz się bombardowanie. Będziesz się bała iść w czasie nalotu.

Kiedy dziewczyna wyszła, Stirlitz zakrył okna ciężkimi, maskującymi światło zasłonami, zapalił lampkę stojącą na stole, nachylił się do kominka i dopiero wtedy zauważył, że polana są ułożone tak, jak lubił: w studzienkę. Nawet kora brzozowa przygotowana na podpałkę leżała na grubej niebieskiej podstawie.

„Nie mówiłem jej o tym. Zaraz, nie... Powiedziałem. Mimochodem. Dziewczyna potrafi zapamiętywać – myślał, zapalając korę. – My wszyscy traktujemy młodych jak starzy nauczyciele i z boku wygląda to rzeczywiście bardzo śmiesznie. Ja też przyzwyczałem się myśleć o sobie jak o starszym człowieku: czterdzieści pięć lat...”

Począł, aż ogień na kominku się rozpałił, podszedł do radia i włączył je. Moskwa nadawała stare romanse. Przypomniawszy sobie, jak Göring powiedział kiedyś swoim sztabowcom: „To niepatriotycznie słuchać wrogiego radia, ale czasami bierze mnie chęć, aby posłuchać, jakie bzdury o nas gadają”. Sygnały o tym, że Göring słucha nieprzyjacielskiego radia, otrzymywano i od jego służącej, i od kierowcy. Jeżeli „nazi nr 2” w taki sposób próbuje sobie stworzyć alibi, świadczy to o jego tchórzostwie i braku wiary w jutro. „Wprost przeciwnie – myślał Stirlitz – nie powinien ukrywać, że słucha obcej rozgłośni. Mógłby komentować te audycje, złośliwie je wyśmiewać. To na pewno podziałałoby na Himmlera, nieodznaczonego się szczególną lotnością umysłu”.

Romans zakończył się cichą fortepianową frazą. Daleki głos moskiewskiego spikera, najwidoczniej Niemca, zaczął podawać częstotliwość fal, na których należało słuchać audycji w środy i piątki. Stirlitz zapisywał cyfry: to była informacja przeznaczona dla niego, na którą czekał już sześć dni. Zapisywał cyfry w równą kolumnę; było ich dużo i widocznie z obawy, że adresat nie zdąży wszystkiego zapisać, spiker przeczytał je po raz drugi.

A potem znowu rozbrzmiały wspaniałe rosyjskie romanse.

Stirlitz wyjął z biblioteczki tomik Montaigne'a, przełożył cyfry na słowa i zestawiał je z kodem ukrytym wśród mądrych prawd wielkiego francuskiego myśliciela.

„Za kogo oni mnie uważają? – pomyślał. – Za geniusza czy za wszechmogącego? To przecież niemożliwe...”

Miał wszelkie powody, aby tak uważać, ponieważ zadanie przekazane mu przez moskiewskie radio brzmiało:

„Do Justasa. Według naszych wiadomości w Szwecji i w Szwajcarii pojawiali się wyżsi oficerowie służby bezpieczeństwa SD i SS, którzy szukali dojścia do rezydentury sojuszników. W szczególności w Bernie ludzie SD starali się nawiązać kontakt z pracownikami Allena Dullesa. Należy wyjaśnić, czy te próby kontaktów są: 1) dezinformacją, 2) osobistą inicjatywą wyższych oficerów SD, 3) realizacją zadań centrum. W przypadku jeśli ci pracownicy SD i SS wypełniają polecenia Berlina, koniecznie trzeba wyjaśnić, kto zlecił im to zadanie. Konkretnie: kto z czołowych przywódców Rzeszy szuka kontaktów z Zachodem. Aleks”.

...Sześć dni przed tym, jak depesza trafiła do rąk Justasa, Stalin, zapoznawszy się z ostatnimi raportami radzieckich tajnych służb za granicą, wezwał do swojej dachy w Kuncewie szefa wywiadu i powiedział do niego:

– Tylko ci, co stawiają pierwsze kroki w polityce, mogą uważać Niemcy za ostatecznie osłabione i dlatego niegroźne... Niemcy to ściśnięta sprężyna, którą trzeba i należy złamać, naciskając ją z obu stron. Jeśli natomiast nacisk z jednej strony zamieni się w podparcie, sprężyna, prostując się, może uderzyć w przeciwnym kierunku. I to będzie mocne uderzenie, po pierwsze dlatego, że fanatyzm hitlerowski jest tak samo silny jak dawniej, a po drugie dlatego, że wojenny potencjał Niemiec bynajmniej nie został do końca wyczerpany. Wobec tego wszystkie próby porozumienia się faszystów z antyradzieckimi kołami Zachodu powinny być przez was rozpatrywane jak realne możliwości. Naturalnie – kontynuował Stalin – powinniście zdawać sobie sprawę, że głównymi osobami w tych ewentualnych separatystycznych rozmowach będą najprawdopodobniej najbliżsi towarzysze broni Hitlera, mający autorytet i wśród aparatu partyjnego, i wśród społeczeństwa. Oni, jego najbliżsi współpracownicy, powinni stać się obiektem waszej stałej obserwacji. Nie ulega wątpliwości, że najbliżsi ludzie tyrana, który znalazł się na skraju przepaści, zdradzą go, żeby ocalić własne życie. Tak się dzieje w każdej politycznej grze. Jeżeli przegapicie tę okoliczność,